

JEDNODNIÓWKA „MRÓWKA”



U wrót raju.

Ewa. — Chodź, Adamie, nie kłóć się z nim, on ma paskudny miecz w ręku. Owoc już i tak dojrzęły; sam niezadługo z drzewa spadnie.

Kwestja żargonu.

Wśród trosk przeróżnych, co nam życie mąca
I szarpią nieraz, jak żarłoczna bestja,
Jest na porządku dziś sprawą palącą
Świeżo wyrosła *żargonowa kwestja*.
Jeden się śmieje z niej, a drugi widzi
W sprawie tej objaw rasowego sprytu;
Różne są zdania — a tymczasem żydzi
Chcą z tego zrobić kwestję swego bytu.

Z hasłem wolności i w imię swobody
Tworzą placówki żargonu i szańce
I nikt z nas stawiać nie myśli przeszkody,
Gdy im tak miłe języka łamańce.
Kwitła wszak ongi wolność na tej ziemi,
Naród nasz miłość swobody ma w łonie,
Więc gdy chcą żydzi, niechaj między swemi
Myślą i mówią i piszą w żargonie.

Niechaj się biorą do swojej roboty,
Do której żargon ma im być podniętą,
Tworząc chedery oraz Jesziboty
I do dawnego powracają Ghetto.
Jeśli lat pięćset żyją między nami,
A język polski gniewa ich i złości,
To dowód tylko — niech się nikt nie mami,
Że trudno tutaj mówić o łączności.

Lecz niech nie myślą, byśmy my, polacy,
W zachwyt wpadali nad łamaną mową
I przykładając dłonie do ich pracy,
Mieli kulturę wspierać żargonową.
My dziś jesteśmy, jak po latach głodu,
Gdy kraj w ucisku życie wiódł ponure,
Więc dbać o rozwój polskiego narodu,
Polską nam trzeba rozwijać kulturę.

Wieki bronimy od germańskiej fali
Starego Lechów i Piastów zagonu,
Więc czyż podobna, byśmy się dziś dali
Germanizować z pomocą żargonu?
Wolności chcecie — lecz kto wolność łączy
Z ideą swoją, niech nie zapomina,
Że wolność jednych w tem miejscu się kończy,
W którym dla drugich szkoda się zaczyna.

Nie wiercie temu, kto z zamętu celem
Na bój o żargon w Polsce was popycha;
Wrogiem wam taki, a nie przyjacielem,
Zła to jest rada i przysługa licha.
Żargonu z polskim w jednym stawiać rzędzie
Nie da, kto dobra kraju jest świadomy,
Choćbyście potem mieli głosić wszędzie:
„To czarna sotnia!... chcą robić pogromy!”

Niema porównania.

- W Persji od tygodnia też rewolucja.
- A dużo już powiesili?
- Piąty tysiąc.
- E, co mi to za rewolucja!

W LIPCIE 1907.

Rzecz się dzieje w sali licytacyjnej.
Komornik. — Została do sprzedania budka suflera, kurtyna z Rozmaitości i prezes Herszelman ze złotym zegarkiem. Weźmiemy to ostatnie. Prezes Herszelman z zegarkiem złotym, ocenione razem na 50 rubli i 5 kopiejek. Kto daje więcej?
Pan Glückskind. — Ile jest wart sam zegarek?
Komornik. — Pięćdziesiąt rubli.
Pan Glückskind. — To ja dam jeszcze 10 kopiejek, niech stracę.

„Mucha“, przed sądem.

Choć sprawa biednej „Muchy” dość była mozolna,
Udała się przedziwnie i „Mucha” jest wolna;
Ominęła biedaczkę ciemnica i krata,
Lecz cóż z tego? Choć wolna, a jednak nie lata.

Dobra zemsta.

— Nie wiesz, dla czego w uroczyste święto
Bożego Ciała, poczta przez cały dzień była otwarta?
— Bo poczta warszawska gniewa się na Pana
Boga, że pozwala tak na nią napadać i chciała wi-
docznie w ten sposób się zemścić.

Biedna bułka.

Wogóle już była nieduża,
Sztuk dziesięć, jak nie, zjadł chłop dziarski,
Pomimo to jeszcze zmalała,
Gdy przyszedł strajk pierwszy piekarski.
Dziś dziecko półroczne przy piersi
Dwanaście gałeczek zagarnie.
Aż naraz ogłosić chcą lokaut,
Wszyściutkie warszawskie piekarnie.
W „Porannym” już pierwsze są strzały,
Na brauning niejednen człęk zerka,
Najwięcej jednakże się martwi
Kochana warszawska kajzerka.
I płacze: — W piekarniach nastąpi
Czas zgody, czy żyd to czy goim,
Lecz czym się kosztem to stanie?
Nie waszym, piekarze, lecz moim.
Gdy lokaut przeminie, ja zginę,
Utrapię czas przejdzie i męki,
Bo ktoby mnie wtedy zjeść pragnął,
Wziąć musi mikroskop do ręki.

Tytuły artykułów wstępnych o Kole polskiem
w „Przeglądzie Porannym.”

GROCH Z KAPUSTĄ!
RAKARZE DRUGIEJ DUMY!
DMOWSKI, JAKO LEGALNY BANDYTA!
DO NOGI, PSY!
NOWODWORSKI „POLSKOBÓJCA!”
Z PIANĄ NA USTACH!

Zwycięzca z pod Nowego Dworu.

Na pole i w las,
Na łąki wśród kwieci,
Poszły sobie raz
Pod Warszawą dzieci.
Radość w oczach wre,
Śmiech płynie bez końca,
Dusza im się rwie
Do nieba, do słońca.

Wtem przyjeżdża w kłus
Pan naczelnik krewki:
Dzieci — zgrozo zgroź! —
Mają chorągiewki!
To jest jawny bunt!
Więc woła strażników —
Lojalność to grunt
Pędzić buntowników.

Przybył cały rój
Policyjnej armji,
Razem z nimi w bój
Wstąpili zandarmi.
Pierzeją jak dym,
Dziewczęta, chłopaki
I sypią się im
Guzy i siniaki.

Wróg ostatni zbiegł,
Zwycięstwo — do kata!
Pan naczelnik rzekł:
„*Motodcy rebiata!*”
Kręca wąsy swe
Policyjne zuchy:
„*Radzi starać się!*”
Okrzyk płynie głuchy.

Pan naczelnik rad
Powraca do miasta.
„Niema co... jam chwata!
Skobelew — i basta!”
Dumny robi gest
I jest pelen wiary,
Że dostanie „krest”
Za wzięte „sztandary.”

W KSIĘGARNI.

— Niech pan odeśle do wydziału tajnej poli-
cji dla nowego referenta, pana Silina, dwieście ro-
syjskich elementarzy, kilka tysięcy czystych papier-
ków i atlas.

— Po co mu rosyjskie elementarze?

— Każdego złodzieja, którego złapiemy, bę-
dziemy uczyli po rusku, ażeby pan Silin mógł się
z nim rozmówić.

— Po co mu papierki?

— Pan Silin, jak wychodzi z Ratusza na mia-
sto, to chce rzucać po drodze papierki, bo inaczej
jako nietutejszy, nie trafi z powrotem.

— A na co mu atlas?

— Jakto na co? Przecież pan Silin wogóle
dotychczas nie wie, gdzie Warszawa leży.

Porcja sieczki.

— Berlińczycy przyjmują dziennikarzy angiel-
skich jak koni, bo dali im porcję sieczki.

— Nie czytałem o tem.

— Nie czytałeś? A mowa Wilusia do Angli-
ków, to co?



NA SESJI W REDAKCJI „NOWEGO WREMJI.”

Suworin. — Tak my i podzielili się robotą. Ja napiszę feljetonezyk o tem, że Polaki to same rewolu-
lucjonery; Piotr Piotrowicz udowodni, że oni czyste buntowszczyki; Iwan Iwanowicz przekona świat, że oni
urodzone matieżniki; Sawa Sawicz zaręczy, że oni żyją tylko z fabrykacji bomb, a już Nikita Nikitycz tam
sobie też coś nie bądź zdrowego o tych poljaczyszkach znajdzie i numer gotów.



Tajemniczy reżyser. — „Lokaut” zurück! Teraz „Strajk” na niego pójdzie i obedrze go do reszty.

Korespondencja braterska.

I. N. Polusztannikow

Młodszy okototoczny.

Warszawa

Prywiślinje Rosyjskie.

Miły Ilja!

Dawno już my z tobą gawędy nie wiedli, no u mnie czasu nie było, bo po Awstrji jeździć musiał. I w Lembergu był i w Peremyszu i w innych awstryjskich grodach, a na dniach ze mną taka przygoda zdarzyła się, że ja chory leżałem i zimną wodą boki okładałem. Czytałem ty może w gazetach, że w Awstrji wybory do ichniej Dumy były; parada przytem wielka, pomyślisz: galowy dzień. Cała awstryjska armja od rana wyszła na miasto i na pozycjach przed wyborcami domami stanęła. A policji, bracie, była taka przepaść, że niewiedomo, skąd to się nabrało. Chyba oni naszych policyjskich, z Rosji, znaczy — pożyczili i na ten dzień w policję ich przemianowali. Kiedy ja ten paradny występ obaczyłem i wojska tyle i policji śmę ujrzałem, taka mnie tęsknota do ojczyzny rodzonej wzięła, że do Urbana zejść musiał i trzy czarki żytniówki, nie oddychając, jedną po drugiej wypić.

Nu, wybory zaczęły się, naruszenie spokoju przytem straszne i krzyki i gwałt. Już, już myślałem ja:

awstryjskie kozaki przylecą i nahajkami rozpędzać zaczną. No choć w Awstrji konstytucja jest i kraj to cywilizowany, mówią — a kozaków u nich niema. Znaczący: my, bracie, górą nad nimi. Od czasu do czasu to narodowi ludzie, to socjaliści pochody po mieście robili, mnie po służbie wypadło do pochodów należeć, żeby wiedział, ilu naszych warszawskich awstryjski spokój narusza. Tak najpierw z narodowcami ja chodziłem, a potem do socjalistów przystałem. Z pierwszemi orałem na całe gardło: „marsz, marsz, Dąbrowski!” no choć zabij, nie wiem, jakiego to Dąbrowskiego wołają. W naszym uczestku, pomnę, jest aż sześć Dąbrowskich; tyby, bracie, wyszedł, może to który z nich. A z socjalistami chodząc, krzyczał ja: „sędziami wówczas będziem my!” choć wierzyć temu mnie się nie chce. No bo gdzie im sędziami być, nie to już o mirowych myśleć, a prosto gminnymi być, kiedy ich żadna władza nie lubi, bo bezspokojny element oni. Chodził ja tak godzin kilka z temi pochodami, aż w końcu, czort w głowie przemieszało się: do narodowych przyszedłem i o sędziach im śpiewać zacząłem. Usłyszał to jeden i prosto, nic nie mówiąc, kułaka mnie w bok i krzyczy: „ach ty, socjał, czego tobie tu!” Cóż mnie mówić z takim, co się na ludziach nie zna! Słowa nie rzekłszy, w łeb jemu daje, na to drugi przyskoczył i mnie w drugi bok wali. Za tym poszli inni, tak że nie zliczyć, ile razy w boki ja dostałem. Możeby mnie się krzywda na zdrowiu stała, no awstryjski policaj przyskoczył i „pod tele-

graf," znaczy: do ichniego ucząstku mnie powiódł.
Tam my się, jak brat z bratem rozmówili i wrócił
ja do domu i do zimnej wody się wziął. Trudno,
brat: służba nie zabawa, a jeżeli kiedy i boki przy-
tem ucierpią, rad bądź, bo zastugę będziesz miał
i poszanowanie u władzy.

Obejmuję ciebie bratnim uściskiem

Tryfon.

W APTECE.

Pryncypał do pracownika. — Na ósmego spro-
wadzić dziesięć balonów oleum ricini. W tym dniu
rozpoczyna się w Warszawie zjazd kobiet.

— Czy pan sądzi, że te panie się rozechorują?

— One nie, ale ich mężowie i dzieci.

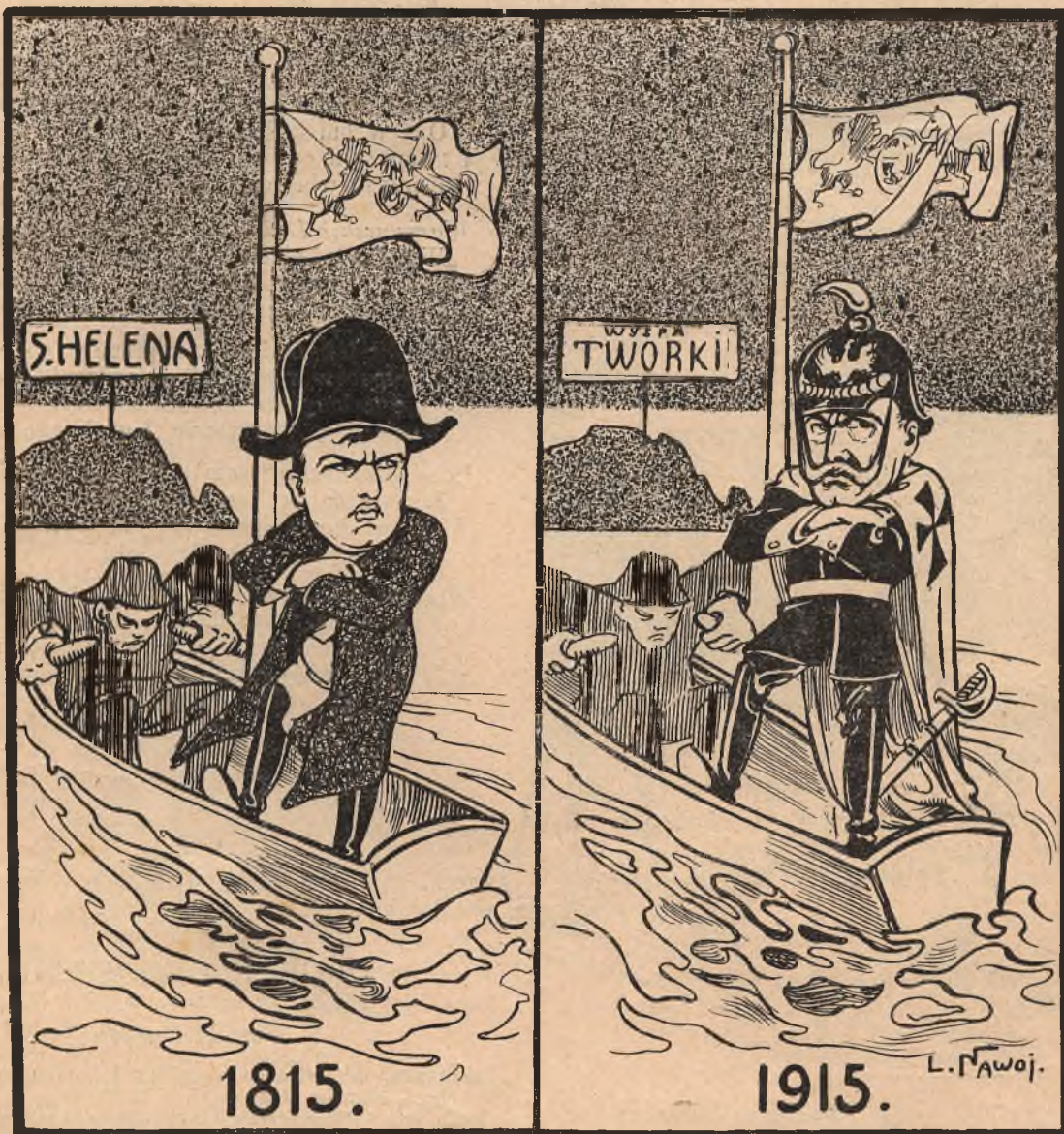
PAN OSMALA.

Nieprzepartą do rozgłosu chęcią silnie party,
Do warszawskich gospodarzy skreślił list otwarty,
A w tym liście, jako trybun rzymski, dumnie kroczy,
Bo otworzył gospodarzom na rzecz wielką oczy.
Krótka trwała jednak radość, smutny już Osmala,
Bo się w sprawę delegacja gospodarzy wdała,
Która rzekła: O, Osmala, nie rób tyle strachu,
To, co ty wiesz, dawno wiedzą już wróble na dachu,
Żadnej nowej nie odkryłeś gospodarzom karty,
Szkoda było i dwóch groszy na twój list otwarty.

NA ULICY ROZBRAT.

— Panie! Panie! Pan mi zabierasz woreczek,
a w nim ostatnie trzy ruble! To rozbój!

— Nie, to tylko praktyczne zastosowanie rad
Dumy. Ja panu robię: „przymusowe wywłaszczenie.”



Anglicy, naród silny i plemię zażarte,
Odczuł to na swej skórze niegdyś Bonaparte,
Odczuje może i ten, co sam niespokojny,
Przez zbrojenie narodu pcha do ciągłej wojny:
Ale niejednakowe dla nich losu wzorki:
Ów miał św. Helenę, ten będzie miał Tworki.

Jeszcze o Hurce.

Hurko list nowy napisał
I strasznym gniewem w nim parska,
Twierdząc, że nie go nie hańbi
Spółka z Lidwalem szwindlarska.

Wszystko w zupełnym porządku,
Sąd go uwolni coprędzej,
Bo gdy chłop może chcieć chleba,
Jemu chcieć wolno pieniędzy.

Pzypuszczać trzeba, iż wkrótce
Nadzieja Hurki się ziści
I były wice-minister
Z win się i grzechów oczyści.

Albowiem stary już Goethe
Tę prawdę wyrzekł figlarnie:
Małych złodziejów wieszają,
Wiele rabują bezkarnie.



NOWOCZESNY DJOGENES.

— Z początku myślałem, że to ja jestem tym człowiekiem, który wie, jak zbawić Rosję, okazało się jednak, że nie. Idę takiego szukać i napewno znajdę w Berlinie, z rekomendacji mojego przyjaciela Mendelsoń, który mi jeszcze nigdy nie nastroczył złego interesu.

Po powrocie z Warszawy.

— A robicie jakie postępy w szkole?
— Niby robimy, ale niech ojciec wie, że co do nauk, to Warszawa w porównaniu z Kijowem, stoi w tyle.

— Co się stało?
— Tam, proszę ojca, jak nie chcieli uczniowie z seminarjum iść do egzaminu, to od razu podpalili szkołę, a u nas najwyższy dyrektorowi palto podrzemy albo stłuczemy okulary.

Nowe kłamstwa.

Warszawskij Dniownik do śmiechu porusza
I do dobrego pobudza humor:
Twierdzi, że Macierz ofiary wymusza
Nawet od rosjan — pod groźbą teroru.

Kłamstwo — codzienny to *Dniownika* pacierz,
Za to mu płacą, ta jego natura,
Lecz gdyby z rosjan kto dał coś na Macierz,
Czyż by się z tego stała w niebie dziura?

Oświata równie droga wszystkim ludom,
Ona w ludzkości leży interesie;
Kto sprzyja cudzym oświatowym trudom,
Korzyść własnemu narodowi niesie.

Warszawskij Dniownik tego nie zrozumie,
Wszelka oświata wburza go i złości,
Bo on żyć w świetle nie może, nie umie
I jak émie — jemu potrzeba ciemności.

Twierdzi też *Dniownik* z pianą u oblicza
I głupstwa w swoim twierdzeniu nie widzi,
Że nie polacy pomnik Mickiewicza
Wzniesli w Warszawie, lecz bogaci żydzi.

Luby *Dniowniku!* sam widziałeś przecie,
Jak się na cel ten sypały groszaki,
Więc tak bezczelnie łąć, jak w twej gazecie
Może jedynie hetka ladajaki.

Wieszczowi swemu pomnik na znak cześci
Wzniósł cały naród, przy zdarzonej porze,
A tobie za nie w głowie się nie mieści,
Jak bez subsydjum zrobić się coś może.

MOŻE.

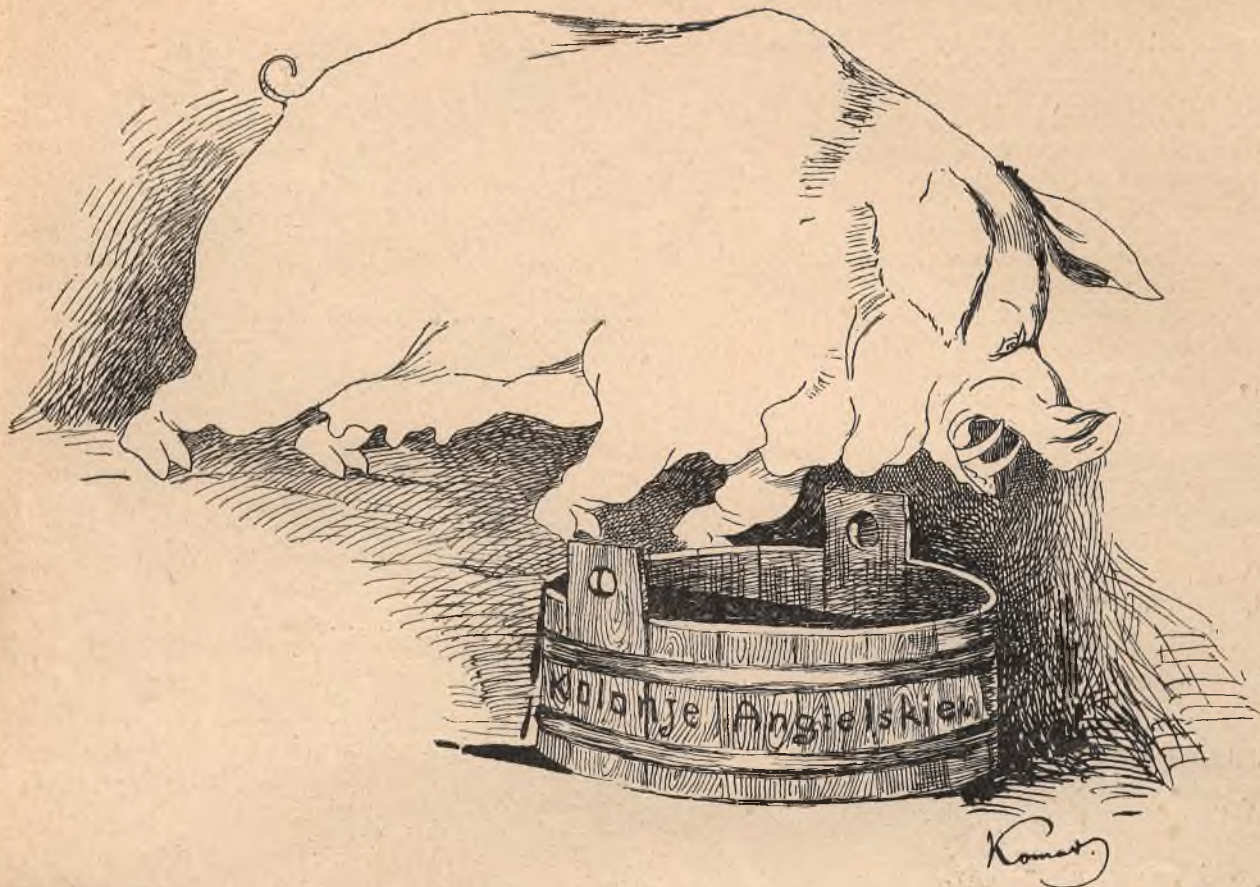
— Na co też w tych dniach umarł były powstaniec, czapnik Manes z Radomia?

— Czy ja wiem? Może go kto z Bundu zastrzelił za to, że będąc żydem, w roku 1863 pomagał Polakom?

DROBNE OGŁOSZENIE.

Posady i prace.

Reżysera, uzdolnionego w każdym kierunku, poszukuje Dyrekcja Teatrów Rządowych w Warszawie do kierownictwa polską sceną. Wymagalna jest umiejętność milczenia na ekscesy Dyrekcji, obsadzania ról artystkami, protegowanymi przez Dyrekcję, oraz donoszenia Dyrekcji, co artyści na próbach mówią o Dyrekcji. Kandydaci, od pisarzy prowentowych włącznie, mają przed zjawieniem się w kancelarji, złożyć konkursowy egzamin u członka komisji teatralnej p. Krywoszejew, który jako ex-tłumacz w policji z hebrajskiego na rosyjski, zna wymiennie wymagania sceny polskiej. Posada do objęcia zaraz, pensja, aczkolwiek niewypłacalna, ale przyzwoita.



Niebezpieczny gatunek niemieckiego żarłoka, jedyny którego się Anglja, jak ognia, boi.

Zajęcie skóry.

W Radzie Państwa polskie lordy
Siedli, żądni łask;
U ich boków nie lśnią kordy,
W oczach nie gra blask.
Znikli w centrum, niby nurki,
Wpadłszy w morski prąd,
Drżą na nich zajęcie skóry,
Gdy się ozwie rząd.

Nie przemówił żywym słowem
Żaden wśród nich mąż,
Z Kasatkinem i Durnowem
Idą zgodnie wciąż.
Przyrządzają dionimi swemi
Reakejny farsz;
Wciąż brzmi hasło między niemi:
„Na prawicę marsz!”

Chce gabinet zaufania
Słodki spożyć tort,
Zaraz mu się nisko kłania
Każdy polski lord.
I by w blasku swym nie zagasił
Biurokracji świat,
Każdy z nich, jak kamer-fagas,
Do usług jest rad.

Szwank im sprawił na rozumie
Ich godności szych,
Jak egipskie siedzą mumje,
Na fotelach swych.
W takt kiwają jak figurki,
Gdy rząd zacznie grać, —
Wpychać te zajęcie skóry,
Do muzeum dać.

Szymon Askenazy.

Jest profesorem zwyczajnym we Lwowie,
Panie L. Peretz, co pan na to powie?
Pewnie już w smutku pan niezmiernym tonie,
Że Askenazy nie mówi w żargonie?
Pociesz się, pociesz, panie L. Peretzu,
Z żargonem swoim zostaniesz na piecu,
Bo choćbyś krzyczał gwałtu najgoręcej,
Da przyszłość Polsce Askenazów więcej,
A z całej twojej żargonowej hecy
Stanie się tylko, że znikną Peretzy.

Nie wierzy.

— Nowy dyrektor Banku Państwa w Warsza-
wie, baron Tyzenhauzen, powiedział, że on patrzy
tylko na pracę, — wyznanie i pochodzenie dla niego
to nic.

— Czy on przyjechał z Rosji?

— No tak.

— Czy aby napewno? Widziałeś pasport?

Niewłaściwy towar.

By nie zamarzła polityki sfera
Wilus też w podróż pono się wybiera;
Chce, niezem Edward, w wszechświatowym tłumie,
Robić, jak mówią handlowcy: w „rozumie”.
Lecz na nie będą wojażerskie susy,
Wilus w „rozumie” ma same auszusy,
On mógłby robić to i w dużych ramach,
Jedynie: w „bindach”, albo w „telegramach”.

A DUMA GADA...

Upłynął kawał czasu duży,
Wypadki szybko szły na zmianę,
Odkąd mieliśmy, pośród burzy,
Różne wolności obiecane.
Wolności dotąd na papierze,
Nikt w ramy prawne ich nie wkłada,
Rząd znowu ostro za łeb bierze,
A Duma gada, gada, gada...

Swoboda słowa jest podobno,
Ale z nią trzeba być zestrożna,
Za łada bowiem sprawę drobną
Do „ula” dostać się dziś można.
Kto jest innego z rządem zdania,
Ten w tarapaty zaraz wpada,
Ciągłe areszty i zesłania,
A Duma gada, gada, gada...

Jest nietykalność osobista,
Lecz nas złudzeniem ona karmi:
Nikt z tej wolności nie korzysta,
Broni policja i żandarmi.
Działają straż i ochrany,
Jak dla widoków ich wypada;
Przygniotły lud wojenne stany,
A Duma gada, gada, gada...

Wyroki śmierci piszą sądy,
Kat wykonywa je bez trudu,
Już zeichły wolnościowe prądy,
I o reformach ani dudu.
Ciemność ze światłem toczy boje
I dalszą walkę zapowiada;
Rząd, tak jak robił, robi swoje,
A Duma gada, gada, gada...

Dzięki Bogu.

— Słyszaleś? Dyrekcja teatrów zabroniła arty-
stom grywać po za teatrami rządowemi.
— Ale umrzeć z głodu Dyrekcja im nie za-
broniła?
— Nie.
— Dzięki Bogu, choć ta droga do wyjścia
z matni im została.

LIST OTWARTY RODICZEWA

do wszystkich przeciwników politycznych.

Niech wie o tem taki albo inny synek,
Który chciałby wyzwąć mnie na pojedynek,
Czy to będzie stary, czy to będzie młody,
Że ja zawsze znajdę jakoweś przeszkody.
Szulginowi powiem, że nie było sporu,
Hurce z wielką racją, że niema honoru,
Dla innego cofnę znowu słowo moje,
Bo widzicie, ja się...

trochę kuli boje.



W cuklarni na Dził-Gass.

— Jojne, Jojne! Ja mam zmartwienie. Syn mój
nie chce mówić ze mną po polsku, tylko w żargonie.
— A ile wasz syn ma lat?
— Dziewięć.
— Wy się uspokójcie. W tym wieku wyście
też byli zupełnie jeszcze głupi puryc.

— Co to jest, że ta policja tak ciągle robi re-
wizje?
— Bo ona chce coś znaleźć.
— Co ona chce znaleźć?
— Jak wy się dziwnie pytacie, Symcha. Gdy-
by policja wiedziała, co ona chce znaleźć, toby nie
robiła rewizje.

— A wy Mojsie, jakiego jesteście zdania o żar-
gonie?
— Ja go kocham dla brzucha.
— Czy wy z niego żyjecie?
— Nie, ale jak go nie kochać, to można do-
stać troszkę kulą w brzuch.

— Ja zupełnie nie wiem, dokąd w tym roku
żonę wysłać?
— Czy ona jest stara?
— Ona jest bardzo stara.
— To wy ją wyślijcie wieczorem z kilkoma
rublami w okolice Filharmonji; tam są lekarze, co
ją od razu ze wszystkiego wyleczą.

— A co słyhać w Dumie?
— Nic wielkiego, tam pękła jedna ściana.
— Czy ze starości?
— Nie, z gadania.
— Jakto, ściana gadała?
— Ściana nie gadała, ale jeden poseł blisko tej
ściany gadał o tem, żeby wogóle tak dużo w Dumie
nie gadać.

Do Polaków.

Przestańcież pisać do Björnsona,
Tłumaczyć Polskę w czoła pocie,
Jako nasz wróg pan Björnson skona,
Bo trudno rozum wlać - idjocie!